

Wacław Holewiński: Cieniem będąc, cieniem zostałem (fragment powieści)

Uniwersytet trzeba do życia powołać. Nie kiedyś, nie za lat dziesięć czy za dwadzieścia. Bo któż ma ten kraj nam zbudować? Żołnierze? Powstańcy? Życie stracić łatwo, ale to na nic jeśli nic po nas nie zostanie – o Karolu Jaroszyńskim, najbogatszym Polaku w historii, fundatorze KUL-u, opowiada Wacław Holewiński. Publikujemy fragment powieści „Cieniem będąc, cieniem zostałem”.

Było zimno, może nie tak zimno jak rok wcześniej, ale kilkanaście stopni mrozu było na pewno. Nic dziwnego, luty w Polsce rzadko kiedy grzeje słońcem.

Szedł w kondukcje pogrzebowym, tuż po biskupie Fulmanie, księżach i profesorach. Chcieli uhonorować jego zasługi, ale miał wrażenie, że nawet dla nich, nie wszystkich, to oczywiste, ale dla niektórych na pewno, był anonimowa postacią. Tak jak oni dla niego. Ale jakże miało być inaczej? Nie afiszował się ze swoją hojnością. Ten uniwersytet był przede wszystkim zasługą zmarłego, jego dzieckiem. I nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo niestosowne jest to określenie w przypadku księdza. Idzi, gdy byli tylko we dwóch zawsze prosił aby mówić mu po imieniu, Radziszewski był od niego ledwie sześć lat straszy, ale zakola na czole, ascetyczna twarz, pewna powolność ruchów, powodowały, że wszyscy sądzili, że jest starszy niż był w rzeczywistości.

Szedł i próbował wyłuskać w głowie, kto był autorem pieśni żałobnych, które altem śpiewała w kościele młoda, piękna kobieta, o głębokiej, a przy tym ciepłej barwie głosu. Był pewien, że gdzieś już je słyszał, ale

autor na pewno nie był szczególnie znany. Kołatały mu w głowie dzwonki z pierwszego i ostatniego utworu. Wiedeń? Kilkanaście lat wcześniej? Miał na końcu języka i kompozytora i nazwę utworu...

Rozmawiali tyle razy. Idzi nie wyciągał ręki po żaden datek, nie prosił. Mówił o potrzebach, o nadziei, jaką niesie nauka, o swych obawach związanych z bolszewikami, ich wpływami na młodych ludzi.

– To tu – pukał się w głowę – rodzą się piękne myśli o ojczyźnie – przekonywał przed laty, jeszcze w Petersburgu w dziewięćset piętnastym? Może na początku szesnastego?

– Ojczyźnie? A gdzież ona? – pytał, bo choć obaj mówili o Polsce, ale tylko profesor miał jakąś wizję tej Polski.

– Trzeba kształcić – odpowiadał. – Nie księży, tych i tu mam dość – był już wtedy rektorem Cesarskiej Akademii Duchownej w Petersburgu – ale dzieci z rodzin ubogich, chłopskich, rzemieślniczych, na nich budować przyszłość.

– A my? – czasem buntował się pomijaniem zasług tych, na których ofiarności, patriotyzmie, zaangażowaniu społecznym pamięć o przeszłości trwała w tak wielu głowach.

– Niepotrzebni?

Więc jeśli ten świat, w którym żył od urodzenia legnie w gruzach, to co w jego miejsce?

Radziszewski kręcił głową.

– Ziemianie, przedsiębiorcy, elity... Zruszczone, zniemczone – widząc

sprzeciw Jaroszyńskiego łapał go za ramię. – Karolu, Karolu, wiem, wiem, wszyscyśmy z tego samego pnia, ci którzy się zaparli, ich trzeba nawracać, znów przysposobić ojczyźnie, ale myśleć trzeba w przód. I dać świadectwo przywiązania, miłości do kraju.

Rok albo dwa lata później potrafił skrzyczeć rodaków, którzy wzruszali

ramionami widząc w jakim stanie, bez opieki, ubrań, głodne, te polskie dzieci z ochronek wychodziły na żebrzy.

– Wstyd, wstyd i hańba! – podnosił głos w kazaniu, a ci, którzy skąpili grosza kryli głowy w ramionach, a później wrzucali datki do specjalnych skrzynek.

Nie, nigdy nie kierował tych słów do niego. Nie miał powodu. Bo bez jego wsparcia niewiele inicjatyw narodowych miałoby wówczas w Pitrze szanse na przetrwanie. Ale przecież jeździł po całej Rosji, miał każdą godzinę zaplanowaną, nie starczało czasu nawet na sen.

Te pieśni wykonywał Weidemann[1]? Nie mógł mieć wtedy więcej niż trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Kindertotenlieder? Tak, chyba tak brzmiał tytuł. Ale kompozytora dalej nie pamiętał. Przerzucał w głowie nazwiska, ale żadnego nie mógł przyporządkować muzyce.

Na to spotkanie Idzi zaprosił go jednak w sposób szczególny.

– Przyjdź – objął go czule ramieniem.

To nie była prośba, to był mus. I wiedział, że choćby się wszystko waliło to z jakiegoś powodu trzeba tam być. Rosja ginęła, bolszewicy buntowali tłumy, co chwila wybuchały jakieś rebelie, wciąż trwała wojna, Kamieniew, Trocki i Joffe układali się z Niemcami w Brześciu. Więc jeśli ten świat, w którym żył od urodzenia legnie w gruzach, to co w jego miejsce?

Był spóźniony, nie dał rady wcześniej. Wszedł do niewielkiej salki w której tłoczyło się piętnastu może dwudziestu mężczyzn. Kilku w sutannach, reszta dobrze ubrana. Kiwnął mu głową Skąpski, a Idzi uśmiechnął się i wskazał wolne krzesło obok siebie. A kiedy usiadł pochylił się do niego.

– Byłem pewien, że przyjdiesz, Karolu. I dobrze, że jesteś, bo tu rozgrywają się rzeczy ważne dla Polski

Radziszewski poprosił o głos i przedstawił zebranym Jaroszyńskiego. Któryś z mężczyzn wszedł mu w słowo.

– A któż, księżo rektorze, nie zna pana Karola...

Reszta pokiwała głowami. A potem po kolei wstawali i przedstawiali

się: Jan Niecisław Baudouin de Courtenay, Konstanty Chyliński, ksiądz Czesław Falkowski, Aleksander Kossowski, ksiądz Piotr Kremer, Stanisław Ptaszycki, ksiądz Aleksander Wóycicki, ksiądz Bronisław Żongołłowicz, Piotr Bańkowski, reszty nazwisk nie zapamiętał. To chyba wtedy uświadomił sobie, że w polskim Petersburgu on może znać niewielu, jego za to znają wszyscy.

I zaraz wrócili do rozmowy, a on słuchał i nie odzywał się.

*To nie oklaski były potrzebne,
a praca. Wytrwała, ciężka
praca*

– Uniwersytet? Ale jaki? – mężczyzna z siwą brodą, którego zobaczył tu po raz pierwszy, najpewniej jakiś profesor lub

nauczyciel, mówił piękną polszczyzną ze wschodnim zaśpiewem. – Polska jeśli powstanie...

– Powstanie, powstanie, szybciej niż się panu, drogi panie Stanisławie, wydaje – Idzi tę uwagę skierował nie tylko do mówiącego, ale do wszystkich. – A nawet jeśli nie, nawet jeśli jeszcze nie teraz, to uniwersytet trzeba do życia powołać. Nie kiedyś, nie za lat dziesięć czy za dwadzieścia. Bo któż ma ten kraj nam zbudować? Żołnierze? Powstańcy? Życie stracić łatwo, ale to na nic jeśli nic po nas nie zostanie.

Przez chwilę wszyscy milczeli. A potem odezwał się Baudouin de Courtenay, którego znał z Koła Przyjaciół Niepodległości Polski[2].

– Więc jeśli powstanie, to czy pierwszą potrzebą nie jest uniwersytet otwarty?

Któryś z księży zaprotestował, ale Radziszewski uciszył go gestem dłoni.

– Ależ panie profesorze, on ma być otwarty. Ma wychowywać w duchu katolickim, ma formować inteligencję katolicką, ale w prawdzie

naukowej, w prawdzie sumienia, z wolnością badań, ale też w poszanowaniu dorobku innych...

Zaczęli mówić jeden po drugim, kulturalnie, nie przerywając sobie, ale niemal każdy był w opozycji do poprzednika. Wymieniali katedry, które zamierzali powołać. Teologiczny, Wydział Prawa Kanonicznego i Nauk Moralnych, Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych, Nauk Humanistycznych.

Radziszewski zagryzał wargi, widział, że to zebranie jakoś wymyka się spod kontroli.

Ten kompozytor, jego nazwisko zaczynało się na M? Wciąż i wciąż nie mógł się uwolnić od tej zagadki.

Rozejrzał się na boki. Setki ludzi przyszło pożegnać rektora. Ze sztandarami, wieńcami, z modlitwą.

Cmentarz przy Lipowej cały przykryty był śniegiem. Pomyślał, że to dobre miejsce do pochówku, że i on mógłby w tym miejscu...

– Lublin? – znów zabrał głos ktoś, kogo nie znał. – A czemuż nie inne miasto. – Kijów, Grodno, Lwów? Toż tam Polacy, inteligencja...

Więc wtedy głównie słuchał tego, co mieli do powiedzenia inni. Bo cóż miał mówić. On, człowiek, który nigdy nie poznał życia studenckiego, a co mówić o tworzeniu katedr, kadry naukowej, programów dydaktycznych, o których zaczęli dyskutować. Znał się, to było pewne, znacznie lepiej od zgromadzonych, na finansach. I czuł, czuł, że powinien zabrać głos, przerwać te jałowe, takie odniósł wrażenie, dywagacje.

Poprosił o głos. Idzi kiwnął głową.

– Państwa głosy – nie chciał ich krytykować, nie publicznie – bez wątplenia cenne, być może kluczowe dla powstania tej wymarzonej placówki, być może część z panów profesorów będzie budować zręby Uniwersytetu, ale cóż jest wart pomysł bez wsparcia, bez oparcia w ludziach, którzy gotowi będą nie przez miesiąc, dwa, nie przez rok, ale przez lat kilka czy kilkanaście wspierać tę inicjatywę finansowo. Skoro przyjdzie nam kształcić ludzi niezamożnych, skoro trzeba zbudować

mury, skoro ktoś musi opłacić pensje... – przerwał na chwilę.

– Z Bożą pomocą – głos któregoś z księży zabrzmiał jak żart.

– Chciałem zadeklarować, że będę Uniwersytet wspierał na tyle, ile dam radę.

Ptaszycki nieśmiało zaklaskał, a chwilę potem inni dołączyli do niego. Podniósł ręce, dając im znak, aby przestali. To nie oklaski były potrzebne, a praca. Wytrwała, ciężka praca. Rok wcześniej byłby pewien, że sfinansuje taki uniwersytet samodzielnie. Mniejszy przecież od tego w Pitrze, Moskwie, Kazaniu czy Warszawie. A dziś? Wciąż był bogaty, bardzo bogaty, ale jeśli Anglicy nie złączą realizować planu obalenia bolszewików. Jego planu...

– Oprzec jednak trzeba te finanse na wielu źródłach. I apelowałbym do panów aby szukać, nie ustawać w tych poszukiwaniach.

Minęli groby austriackich żołnierzy pochowanych tu podczas ostatniej wojny. Dziesiątki grobów. Udało mu się odczytać kilka nazwisk. Ralf Schönbach, lat 23, Sigismund Kaunitz, lat 18, Kalocsai Krisztián, lat 19. Ten ostatni, pewnie Węgier... Wszyscy polegli w dziewięćset piętnastym. Przyszło mu do głowy, że w te siedem lat świat wywrócił się do góry nogami. Że wyrosła Polska i Czechy, że Węgier nic nie łączy z Austrią, a Rosja... Ta też nie jest już Rosją.

Poprosili go aby stanął na czele Komitetu Organizacyjnego. Był zaskoczony. Bo nie chciał, nie wyobrażał sobie, że przyjmie ten obowiązek dla zaszczytów. Nie musiał ze swoją pozycją o nic zabiegać. Ale czuł też, że właśnie ta pozycja ułatwić może, otworzyć drzwi do innych bogaczy. Zdał się w tym względzie na Idziego, a tamten tylko ścisnął przegub jego dłoni.

Doszli do grobu. Biskup Fulman, kanclerz Uniwersytetu uczynił znak krzyża i zaczął głośną modlitwę

– Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis. Requiescant in pace. Amen.

Biskup miał mocny głos. Przez chwilę pomyślał, że ten więzień caratu, zesłaniec, jest wciąż, mimo dawno przekroczonej pięćdziesiątki,

młodym człowiekiem.

Powtórzył drugi raz:

– Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis.
Requiescant in pace. Amen.

I znów rozległo się z setek ust, zbiorowe amen. A potem jeszcze raz.

Wszystko już było powiedziane. Rok temu do nazwy uniwersytetu dodano przymiotnik „katolicki”. Tak, jak chciał Idzi.

Ofiarował na jego rzecz trzysta pięćdziesiąt tysięcy rubli, prawie dwieście tysięcy koron, pięćdziesiąt tysięcy franków, pięćset funtów, niemal piętnaście milionów marek polskich. I stojąc przy mogile przyjaciela, zanim rzucił grudkę zmarzniętej ziemi powiedział sam do siebie:

– Ile dam radę, Idzi... Do śmierci...

A może nie do siebie, może jednak do niego?

A gdy szedł do wyjścia, przypomniał sobie. Mahler. Ten kompozytor, te pieśni żałobne...

*Wszyscy polegli w dziewięćset
piętnastym. Przyszło mu do
głowy, że w te siedem lat świat
wywrócił się do góry nogami.
Że wyrosła Polska i Czechy, że
Węgier nic nie łączy z Austrią,
a Rosja... Ta też nie jest już
Rosją*

Sny. Rzadko je pamiętał. Ale kilka z nich wracało do niego często. Jak ten o kaźni Dostojewskiego.

Musiał, jako dziecko, usłyszeć o tym epizodzie z jego życia, musiał mu zapaść w pamięć i wiele razy, gdy do

niego wracał, budził się przerażony, zlany potem. Ten sen był trochę jak film Zekki[3], który widział na przełomie wieków. I za każdym razem się

wydłużał, był inny, jakby reżyser nie był pewien, jakby doklejał kolejne sekwencje.

Widział jego twarz. Tę ze zdjęć, nie miał przecież okazji go poznać. Więc twarz starego człowieka, z czołem pożłobionym zmarszczkami, z długą brodą, z zakolami na czole, z opadającymi na zmęczone oczy powiekami. Ale jednocześnie to był ten Dostojewski, jeszcze nie pisarz, choć przecież już po głośnym debiucie, przed trzydziestką, stojący na Placu Siemionowskim w Pitrze. z rękoma z tyłu przywiązany do słupa. Bez przepaski na oczach. Mimo mrozu w samej koszuli rozpiętej pod szyją..

Tyle razy chodził po tym placu, znał każdą dochodzącą do niego ulicę: Zagorodną, Ruzowską, Zwienigorodską, że we śnie widział nawet kamienie, którymi je wybrukowano, szyldy na sklepach, składach materiałów. To tam, gdy miał dwa lata, powieszono piątkę zamachowców na Aleksandra II. Ale to nie oni mu się śnili, a Fiodor Michajłowicz.

Widział rząd skazańców po obu bokach Dostojewskiego, widział ich rozmazane twarze, nie znał nazwisk, ale widział jak szepcze jakieś zdania. W tym śnie zawsze chciał zrozumieć wypowiedane słowa, może modlitwę, wyznanie wiary, może pożegnanie najbliższych, a może odwrotnie, może słowa buntu?

Czuł strach, jego strach, przed tym co nieznane.

Tłum przyglądający się kaźni. Bez wątpienia wrogi, nieprzychylny, krzyczący obelgi. Biedni ludzie, dla którym ta darmowa rozrywka jest tym, czym Tannhäuser[4] dla bogaczy. Oficer, który ma dać sygnał do śmiertelnej salwy. Pewnie pułkownik. Z kamienną twarzą. Czy on już wie? Bo przecież wyraźnie na coś czeka. Jeszcze z kimś rozmawia. Dostojewski próbuje skoncentrować wzrok w jednym punkcie, w jednej twarzy. To młoda dziewczyna. Jest piękna. Całe życie o takiej marzył. Chciałby ją przytulić, nie, chciałyby się z nią szaleńczo kochać, całować piersi, słuchać krzyku w miłosnej ekstazie.

– Dlaczego? – wrywa mu się z gardła.

Ten, który wiązał mu ręce wciąż przy nim stoi. Niecierpliwi się. Chciałby aby już było po wszystkim. Niech zbrodniarze pokutują za swoje winy. Ale słyszy to pytanie pisarza-nie-pisarza. Tak naprawdę przecież nie wie kim on jest, w ogóle go to nie obchodzi. Jest piekielnie zimno, końcówka grudnia w Petersburgu nigdy nie należy do ciepłych. Marzy o tym aby się napić wódki. Po co ta zwłoka?

– Małczy, durak, małczy, proklataja sabaka – szepcze niby do siebie, ale przecież tamten słyszy.

Nie odwraca się do żołnierza, wciąż patrzy na dziewczynę, ich wzrok się krzyżuje. Jej usta się rozchylają, oblizuje wargi językiem.

Wie, że Dostojewski boi się śmierci, ale ta młoda dziewczyna, nie ma więcej niż szesnaście lat, Jelena Wieniediktowna, skądś zna jej imię i otczestwo, działa na niego uspokajająco. Przestaje się pocić. Zaczyna mówić, całkiem głośno.

– Mogło być inaczej... Miało być inaczej...

Ona, choć jest kilkadziesiąt metrów od niego, kiwa głową, poprawia dłońią jakiś szczegół w przykryciu głowy. A zaraz potem jej twarz pokrywa poderwany wiatrem tuman śniegu.

I wtedy słychać krzyk, kurier z wiadomością wstrzymuje konia tuż przed pułkownikiem, który właśnie unosił rękę. Zeskakuje z niego, potyka się, prawie pada. Głowy zgromadzonych odrywają się od skazańców, koncentrują się na tym, który ocali ich życie.

Ale we śnie to nie on jest przecież najważniejszy. Tak, Dostojewski też na chwilę przenosi spojrzenie z Jeleny na kuriera. Ale zaraz do niej wraca, jakby przeżył już własną śmierć, jakby przestała być ważna. Może jest już w innym świecie? Tego Jaroszyński nie potrafi rozstrzygnąć.

Pułkownik powoli rozrywa kopertę, wyjmuje pismo. Otrzepuje twarz z drobin śniegu. Lodowe igiełki osadziły mu się na rzęsach. Czyta uważnie. Minutę wcześniej był panem życia i śmierci, gdyby dał znak, ciała zwisałyby na słupach, do których byli uwiązani. Może widoczna byłaby krew na ich twarzach ale ich życia nie dałoby się już uratować. A

teraz? Teraz pułkownik nie ma nic do powiedzenia. Minuta, która zmieniłaby tak wiele.

Oficer odczytuje pismo cara. I nagle Dostojewski, który w ciągu tych kilku chwil przeżył niespełnioną miłość, pożądanie, które owładnęło całe jego ciało, euforię wzajemności, widzi jak na twarz Jeleny wypływa rozczarowanie. I rozumie, że nie po to tu przyszła, że wszystko było wyłącznie wytworem jego wyobraźni.

Jeszcze nie wie, że Mikołaj I darował mu życie, nie wie, jak potoczą się jego losy, ale ta dziewczyna na jego pytanie udziela mu odpowiedzi.

– Cieniem będąc, cieniem zostałeś.

Nie rozumie tych słów, on w tym śnie też ich nie rozumie. Ale słyszy za to uwerturę do Tannhäusera. Więc ma przecież pewność, że to sen. Że ta kaźń była jednocześnie przedstawieniem. Bo może zgromadzona publiczność przeżyła rozczarowanie, główni aktorzy nie zagraли swych ról tak, jak przewidział reżyser... Nie, nie. Właśnie zagraли tak, jak przewidział. Przecież ich strach był prawdziwy.

A ta młoda panna, Jelena Wieniediktowna? Jej rola była ważna, ale przecież tylko towarzysząca.

Widzi, jak odwiązują Dostojewskiego. Sznur opada. Rozgląda się niepewnie, nie wie o co chodzi. Chciałby zapytać ale kogo? Przecież nie tego durnia, który stoi obok. I nie innych skazańców. Dostrzega na ich twarzach może nie radość, ale jakąś ulgę.

– Więc to jeszcze nie dziś... – wyrywa mu się kiedy wreszcie rozumie, że został ułaskawiony i czuje, jak uginają mu się nogi, chwieje się, zaraz upadnie.

Żołnierz bierze go pod ramię, znów go zakuwają w kajdany, odprowadzają do więziennej kibitki. Do tej samej ładują kolejnych skazańców. Początkowo wszyscy milczą. Ktoś ciężko oddycha, a zaraz potem zaczyna się histerycznie śmiać. Dostojewski czuje smród. Potu, moczu, strachu? Strach ma swój zapach. Ostry, nieprzyjemny.

Budzi się. Ile razy śnił ten sen? I dlaczego do niego wracał? Szukał rozwiązania zagadki. Po latach zastanawiał się dlaczego Dostojewski,

dlaczego on, a nie jakiś Polak? Przecież równie dobrze mógłby widzieć na przykład Traugutta, tego powstańczego dyktatora, którego powiesili w Warszawie. Obie śmierci były równie odległe, ale tamtego nigdy nie przyśnił. Nie był ważny? Nie wrył się w pamięć?

To było kluczowe pytanie. Kim był, kim się czuł?

Może, gdyby lepiej znał polską literaturę? Tak, w domu mówili po polsku, stały polskie książki, modlitwy za matką też odmawiali po polsku. Tyle, że żadnej Polski nie było. Była mitem niemal tak odległym, jak wyprawy krzyżowców. No tak, były powstania, ojciec... Ale to nie było jego doświadczenie. A Dostojewski był sławny. Nie, nie znał wszystkich jego książek. Znał Biesy, Braci Karamazow i Wspomnienia z domu umarłych. I jeszcze długie opowiadanie o hazardziście, który nie umie wyzwolić się ze szponów nałogu. Może to ono było przyczyną? Bo przecież, przed laty, grał jak tamten. Bez opamiętania tracił pieniądze. Ale nie, to przecież było tak dawno... On sam był zupełnie inny. Może dlatego, że bogatszy, że niczego nie zastawiał w lombardzie, że nikogo nie krzywdził?

Nie musiał, a może i nie chciał czytać kolejnych jego książek. Nawet przez moment nie czuł jakiegokolwiek bliskości z jego bohaterami. To był inny, obcy mu świat. Ale czy Rosja była mu obca?

Czasami zdawało mu się, że nie tylko myśli, ale i śni po rosyjsku. Ale jak miał śnić inaczej? Był, gdzie był. Może w Ameryce śniłby w innym języku, ale tu?

Więc kim był? Nie kim się czuł, to było oczywiste, ale kim był? Gdyby odrzucić tę chęć przynależności, ten mit, który przez pokolenia utrwalali Mickiewicz, Słowacki, ten portret Kościuszki w salonie matki, mit króla Jana pod Wiedniem, mit jakiejś wielkości, tej pierwszej konstytucji, całą tę narodową tromtadrację?

*Przyszło mu do głowy, że kto
by tam nie rządził, car,
Kiereński, Lenin, ten kraj
nigdy nie będzie podobny do
innych. Że zawsze będzie
opierał się na kozackim
nahaju, na tłuszczy, która
będzie krzyżeć grab
zagrabione, na strzelaniu w
tył głowy*

Cóż mógł
przeciwstawić Rosji?
Jej potędze, jej
kulturze, jej
bogactwu? Jej
pierwotnej dzikości,
oszałamiającej chęci
przewyższenia
innych?

Często zadawał sobie
pytanie, czy mając
pieniądze bez
wolności może być
szczęśliwy? A w

drugą stronę? I czy te pieniądze nie dawały wolności? A jeśli dawały, to gdzie był jej kres? W podróży, w zachciankach, które mógł realizować, w kobietach, alkoholu, w dobroczynności? I jaką płacił za to cenę? Łapówek, samotności, tego poczucia pogardy, gdy słyszał, gdzieś za sobą tę obelgę. Polaczyszka? Miała go przydusić do ziemi, umniejszyć, pokazać, gdzie jego miejsce. O ileż wygodniej, łatwiej byłoby, gdyby mógł o sobie powiedzieć, że jest... Zdobył majątek, o którym inni mogli wyłącznie marzyć. Nikt już nim nie pogardzał. Nie śmiał pogardzać. Stał się wzorem dla innych, mógł, gdyby chciał, ułatwiać kariery, mógł, gdyby chciał, utrać inne. Zatrudniał senatorów, ministrów, tysiące ludzi. Miał prawo przypuszczać, że i ręki carewiczówny by mu nie odmówiono... Mógł kupić dowolny tytuł, bywać na dworach. O jego względy zabiegały pierwsze osoby w państwie.

Więc kim był? Może ten Dostojewski był symbolem? Ten grudniowy dzień w Pitrze, gdy tam stał przed plutonem egzekucyjnym, był

przecież Rosją w pigułce. Rosją bez wolności, bez swobodnej myśli, Rosją samodzierżawia, braku prawa.

Przyszło mu do głowy, że kto by tam nie rządził, car, Kiereński, Lenin, ten kraj nigdy nie będzie podobny do innych. Że zawsze będzie opierał się na kozackim nahaju, na tłuszczy, która będzie krzyczeć grab zagrabione, na strzelaniu w tył głowy.

Nie bał się. Albo inaczej. Bał się jak Fiodor Michajłowicz. Czuł, że i jego mogliby przywiązać do takiego słupa. Tylko nikt nie przyjechałby z decyzją darującą życie. Nie było już cara. Zresztą, po co mieliby go przywiązywać do czegośkolwiek? Wdarliby się do jego domu, gdyby trzeba było, zabiliby służbę, potem na Plac Siemionowski. Zgromadzony tłum krzychałby śmierć wyzyskiwaczom. I może dostrzegłby gdzieś jakąś Jelenę Wienediktowną? Cóż to byłaby za ulga. O ileż łatwiej byłoby umierać.

Śnił Dostojewskiego, ale nigdy Tołstoja, tego uduchowionego starca. Dlaczego? Brud, zgnilizna, ten rosyjski szlam był mu bliższy? Nie wiedział. Słabo znał literaturę. Tych kilka nazwisk Gogol. Turgieniew, Puszkina, matka ceniła Błoka, czytała mu jego wiersze, ale przecież nie szukał w nich odzwierciedlenia życia. To znajdował w swojej rywalizacji z innymi. Kiedy miał pewność, że większość rosyjskich cukrowni należy do niego, że dwanaście banków, że transport, dostawy wojenne, że ochronki, że polskie wojsko, które powstawało z niczego, że Uniwersytet...

Opowiadał o tym Idziemu. Ten się śmiał.– Może ty, Karolu, masz zadatki na świętego?

– Na świętego? – zdziwił się, nie rozumiał.

– Przecież tam każdy, każdy z jego bohaterów, ma osobisty stosunek do Chrystusa. Z jego prawdą, która jest w każdym z nas. Inaczej trudno o człowieczeństwo. Każdy, nawet złoczyńca, idzie tam, albo prowadzony jest przez Boga.

Nie rozumiał. Wciąż ten sen wracał.

– A te jej słowa? Cieniem będąc, cieniem zostałeś?

Książ, przecież też przyjaciel, położył mu dłoń na jego rękach.

– To tylko sen, Karolu. Ważne aby czasami wyjść z cienia. Otworzyć serce.

Wacław Holewiński

Zdjęcie: Wojciech Pacewicz / Forum

[1] Friedrich Weidemann (1871-1919) niemiecki śpiewak (baryton). Od 1903 roku aż do śmierci był czołowym śpiewakiem Wiedeńskiej Opery Dworskiej (Wiener Hofoper).

[2] Koło Przyjaciół Niepodległości Polski – koło zawiązane w Petersburgu w 1916 roku pod prezesurą Władmira Kuźmina-Karawajewa. Członkami jego byli m.in. Aleksander Kiereński, a spośród Polaków m.in.: Aleksander Babiański, Jan Niecisław Baudouin de Courtenay, Aleksander Lednicki, Aleksander Więckowski.

[3] Ferdinand Zecca (1864-1947) – francuski reżyser, producent, scenarzysta i aktor filmowy. Jeden z pionierów kina.

[4] Tannhäuser – opera Richarda Wagnera w trzech aktach. Ukończona w 1845, premiera wersji drezdeńskiej odbyła się 19 października 1845, a wersji paryskiej (wykonywanej dzisiaj) 13 marca 1861.